

1. SZMACIANA LALKA

Stała na surowym bruku, osłabiona swoją wynędzniałą chudością i mdlejącą delikatnością. Swoją nikłą posturą nie zwracała na siebie uwagi. Stara sukieneczka i wątpliwej jakości płaszcz, podniszczone buty skórzane i szara chusta wełniana – wszystko to wtapiało ją w gwar tłumu mknącego po zimowej ulicy. Trzęsła się z zimna, łowiła spojrzenia gniewne, zadumane i smutne. Nieśmiało wyciągała przed siebie własnoręcznie wykonane lalki szmaciane i wciąż łudziła się, że ostatnie promyki nadziei, wypływające z jej serca, sprawią, że ktoś w końcu kupi choć jedną z nich. Obok niej przemknął powóz czterokonny – przyciągnął na dłuższy moment uwagę zabieganych przechodniów, po czym pomknął dalej i pozostawił za sobą lodowato-śnieżny podmuch wiatru. W powietrzu unosił się smród dymu wypływającego z kominów kamienic. Stukot końskich kopyt, nieliczne samochody, pojedyncze, zasłyszane słowa rozmów – nikt nie był przesadnie rozmowny gdyż pogoda nie sprzyjała temu. Paskudna aura, która przyciągała skutecznie uwagę osób skulonych pod naciskiem chłodu, czyniła wysiłki dziewczyny bezowocnymi. Pomyślała: „Choćbym stała tutaj wieki, to i tak nic nie sprzedam.”

Bała się, była wprost przerażona obojętnością świata, który nie zwracał uwagi na jej cierpienie. Ale jeszcze bardziej obawiała się głodu i potępienia z ust członków rodziny. W najgorszych momentach swojego życia czuła, że nigdy nie powinna się była urodzić. „Boże, żebym miała męża...” – pomyślała, a jej oczy złowiły w tłumie eleganckiego gentelmana. Był ubrany w modny, zimowy płaszcz i kapelusz. „Taki to nigdy nie zwróciłby na mnie uwagi.” Mężczyzna był przystojny, ciemnooki i sprawiał wrażenie dobrze zbudowanego. Chwilę później jej oczy złowiły drugiego z panów. Kroczył długimi susami obok prędko przebiegającego nogami eleganta. Wysoki lecz przygarbiony, jakby go coś bolało, miał na sobie poszarzały płaszcz i przykurzony, czarny kapelusz. Nie zdążyła dokładnie przyjrzeć się jego twarzy. Gdy ją mijał, skulił się jeszcze bardziej pod wpływem lodowatego podmuchu wiatru. Dziwnie dobrani przechodnie pomknęli dalej, zupełnie jak wszyscy inni, których widziała dziś w przelocie.

Pogrążona w swoich wewnętrznych rozważaniach, straciła poczucie czasu. Ulica powoli zaczęła się wyludniać. Każdy poszedł w swoją stronę. W końcu musiała się poddać. Są takie rzeczy, na które nie można nic poradzić, więc po co z nimi walczyć? Zrezygnowała z dalszego oczekiwania na nabywcę jej skromnego towaru i ruszyła przed siebie. Odrzuciła na bok wszelkie nadzieje na to, że zdarzy się cud, który sprawi, że pewnego dnia będzie mogła żyć godnie, pod opiekuńczymi skrzydłami kochającego ją męża. Przyszedł czas, aby znów zmierzyć się z rzeczywistością, która miała pochłonać resztki jej nadziei. Musiała wrócić do domu...

2. WŁAŚCICIEL CHAOSU

Bezlitośnie zmęczony, wrócił do swojego skromnego lokum. Jak zwykle zastał w nim jedynie bałagan i bród, których nigdy nie miał czasu posprzątać. „Bo po co to ruszać?” – za każdym razem pytał samego siebie, gdy coś wylało się na podłogę. – „Przecież samo wyschnie.”

Ściągnął z siebie płaszcz. Odkrył brak kolejnego guzika i stwierdził fakt pogłębienia się rozdarcia na rękawie. To musiało się stać, gdy zahaczył o klamkę w biurze.

– Znowu te wydry będą się ze mnie śmiały – burknął pod nosem. Chwilę później zajął się rozpalaniem ognia w piecu kaflowym, aby ocieplić tą „zimną norę” – jak ją z odrazą nazywał.

Przypomniał sobie uwagi, które posłyszał dziś niechcący z korytarza redakcji:

– Wiktor to stary kawaler. Jak facet nie ma kobiety, to wygląda właśnie tak, jak on – powiedziała sekretarka szefa do koleżanki z rubryki kulinarnej.

– Ha, ha, ha! Może ugotuję mu jakiś obiad, żeby się biedulek trochę odchowal, bo taki jakiś kościsty! – zażartowała gruba Jola.

– Lepiej zmień dietę, bo wyglądasz jak baleron! – fuknął pod nosem, odpowiadając dopiero teraz na ten komentarz. Nigdy nie odważyłby się twarzą w twarz wypowiedzieć do kobiety takich słów. Był na to zbyt wrażliwy, choć chował tę cechę jak najgorsze znamię, widniejące na jego męskiej naturze.

Zbliżył się do okna. Obserwacja ulicy z drugiego piętra kamienicy zawsze przynosiła mu ukojenie. Miał wrażenie, że nie jest sam, lecz uczestniczy w życiu każdej z codziennie przechodzących tamtędy osób.

– A ta znowu tam stoi.

Ujrzał drobną postać z chustą na ramionach i odsłoniętą głową. Trzymała w ręce coś małego i nieśmiało wyciągała to ku przechodniom. W koszyku na ramieniu miała tego czegoś kolorowego jeszcze więcej. Silniejszy podmuch wiatru zmusił ją do zakrycia chustą matowych, czarnych włosów, które upięte miała w zgrabny koczek. Widywał ją codziennie od paru miesięcy i zawsze zastanawiał się, czy ktoś w końcu coś od niej kupi.

– Chyba będę musiał się ulitować nad tym dzieckiem. – Westchnął współczująco, po czym sięgnął do kieszeni marynarki, aby przeliczyć znajdujące się w niej monety. Niestety, gdy tylko wyciągnął sakiewkę z kieszeni, stało się coś niezwykle irytującego.

– A niech to! Znowu dziura! – Po podłodze potoczyło się kilka monet, które prędko pozbierał, wściekły na złośliwość rzeczy martwych. – A! Jutro tamtędy będę przechodził, to jej dam. – Machnął ręką i odstawił sakiewkę na parapet okna. Zaczął zastanawiać się nad tym, jak ogarnąć ten cały bałagan, który swoją drogą zaczął go już przerastać.

– Trzeba by chyba kogoś zatrudnić do sprzątania. – Ponownie wyjrzał przez okno. Przez szarą kurtynę chmur przebiło się kilka promyków zachodzącego słońca, które oświetliły miejsce, gdzie stała dziewczyna z koszykiem. Później nagle stało się coś niesamowitego! Do biedaczki podeszła mała dziewczynka z chustką na głowie, wyglądająca na równie biedną co tamta. Wyciągnęła dłonie do sprzedawczyni. Dziewczyna przykucnęła i zaczęła rozmawiać z dzieckiem. Po chwili ujrzał, jak mała, może siedmioletnia dziewczynka, sięga do koszyka i wyjmuje z niego jedno kolorowe coś.

- Ciekawe czym jej zapłaci.

Dziecko przytuliło to *coś* do siebie i wtedy domyślił się, że musi to być lalka.

- Dziewczyna sprzedaje lalki.

Dziecko odeszło, a Wiktor zdziwił się.

- Nie zapłaciła jej!

Zrozumiał, że to był podarunek. Uliczna sprzedawczyni nie miała wiele, ale mimo to podarowała dziecku lalkę. Poczuł, jak coś ściska go za serce.

- Następnym razem kupię od niej kilka - postanowił, a jego wzruszenie przerwało pukanie do drzwi. - Wejdz Antek!!!

Nie musiał długo czekać na wejście gościa. Dobrze wiedział, że jedyną osobą, która może go o tej porze odwiedzać, był jego bardziej udany młodszy brat. „Ten, co to mu wszystko wychodzi, a panienki same latają dookoła niego jak sikorki dookoła tłuściuchnej słoninki.” - komentował go w myślach za każdym razem, gdy go widział. Pan Słoninka był brunetem o brązowych oczach, idealnych proporcjach ciała i malowanych rysach twarzy, upodabniających go do cudownego Adonisa.

- Cześć Wiktor! - przywitał się Antoni - O rany... Jest gorzej niż tydzień temu! - W porę zrezygnował z położenia na brudnym stole swojego idealnie czarnego płaszcza.

- Potrzeba tutaj kobiecej ręki. Nie zastanawiałeś się nad tym? Tak przypadkiem?

Wiktor wewnętrznie uległ skrajnej irytacji, jednak zacisnął zęby i rzekł tylko:

- Właśnie przed chwilą o tym myślałem.

- Bogu niech będą dzięki! - Młodszy brat postawił kilka kroków do przodu i stanął obok rozgrzewającego się pieca kaflowego. W mieszkaniu Wiktora było niemal tak samo zimno, jak na ulicy. - Czasem zastanawiam się, jakim cudem jeszcze nie pożarł cię ten cały chaos! Człowieku! - Skierował ku niemu perswazyjne spojrzenie. - Weronika to przeszłość! Znajdź sobie inny obiekt westchnień i ogarnij się!

- Odczep się, panie idealny! - warknął i zamknął się w bólu wspomnień.

- Wik, przecież jest tyle kobiet na świecie - zabrzmiał łagodniej. W gruncie rzeczy współczuł bratu. Zachęcony jego tonem Wiktor odpowiedział:

- Znasz jakąś, co mogłaby od czasu do czasu wpaść posprzątać mój chaos?

- Masz na myśli swoją głowę? - zażartował, żeby rozweselić smutasa.

- Bardzo śmieszne. - Wbił w niego sztylety swoich zielonych oczu. Uwaga brata zabolala jego niskie poczucie własnej wartości.

- Pracujesz w gazecie. - Westchnął. - Przecież możesz wstawić tam jakieś krótkie ogłoszenie. Zygi na pewno ci pozwoli! Gdyby nie twoja praca i poświęcenie, to ta gazeta nie miałaby szansy bytu! - Dodał uśmiech, żeby być bardziej przekonującym. Przychylna opinia brata skłoniła Wiktora do zbliżenia się w jego kierunku. Przeszły mu smutek i niechęć do tego idealnego kawalera, rzekł więc niemal optymistycznie:

- Wprost nie mogę uwierzyć, że znalazłeś we mnie coś pozytywnego.

- Bracie, gdybyś ty znalazł w sobie coś pozytywnego, to żadne krytyczne uwagi na twój temat nie dotknęłyby cię do tego stopnia, żeby zaczęły ci drzeć ręce.

Wiktor spojrział na swoje duże dłonie, po czym schował je do kieszeni spodni. Był wrażliwy i zakompleksiony, a brat wciąż dawał mu do zrozumienia, że powinien coś ze sobą zrobić. „Później, może za tydzień, za rok...”

- Napiszę ogłoszenie w gazecie - zmienił prędko temat.

Antoni jedynie skinął głową.

3. MODLITWA SKAZANEJ

Ból gardła, dreszcze, gorączka... Znów poległa w boju, znów jej ciało nie potrafiło znaleźć w sobie siły, aby pokonać strach i zmęczenie, które rozbiły ją na czynniki pierwsze. Rozchorowała się, bo przemarzła, gdy przez sześć godzin przemierzała ulice miasta, aby zarobić na swoje utrzymanie.

– A ta znowu leży! – fuknęła na nią starsza siostra, która zaglądnęła jedynie na kilka sekund do jej ciasnego, pustawego pokoiku z niewielkim oknem. Niegdyś dzieliły go razem. Teraz Marta była mężatką cieszącą się poważaniem w rodzinie.

Chora chciała poprosić ją o odrobinę zupy, którą dziś własnoręcznie ugotowała, zanim dolegliwości przygwoździły ją do łóżka. Lecz zamiast obiadu przełknęła jedynie słone łyż i zrezygnowała z wypowiedzenia tej prośby. A później przez zamknięte drzwi do jej uszu dotarły kolejne oskarżenia.

– Nie będę jej utrzymywał! Niech ona idzie do normalnej roboty! – usłyszała donośny głos brata.

– Ja też wiecznie nie będę na nią dawał! – warczał ojciec. – Jest starą panną! Trzeba ją będzie wydać za męża, bo tylko jak kula u nogi jest!

– Kto ją taką chorą weźmie!? – zajęczała matka. Jako jedyna miała dla niej odrobinę współczucia, niestety przykrytego grubą warstwą zarzutów, że jej młodsza córka nic w domu nie robi.

– Ty też, mamó, chora jesteś, a jakoś nie leżysz w łóżku cały dzień – powiedziała jej starsza siostra. Marta prowadziła udane życie u boku męża, w dobrze umeblowanym mieszkaniu. Zawsze miała o Ewelinie jak najniższe mniemanie. Przecież zawsze była tym najmniej udanym dzieckiem. Jednak tym razem uwaga Marty zabolęła ją znacznie bardziej niż zwykle.

Nakryła głowę kołdrą, aby już więcej nie słyszeć tego biadolenia, które przyprawiało ją o szaleństwo w niemocy. Zaczęła się po cichutku modlić:

– Boże, zabierz mnie stąd, bo już dłużej tego nie zniosę. Nie mam już siły. Moje ciało jest takie słabe i chore. Nie mam siły, aby pracować. Nie wiem, czy zasłużyłam na niebo czy na piekło, ale proszę, weź mnie do siebie.

Po tych wyszeptanych słowach targnęła nią fala bezkresnej rozpacz. Serce biło jej tak mocno, jakby chciało wydostać się na zewnątrz niczym ptak chcący uwolnić się z klatki. „Dlaczego mnie to spotyka? Dlaczego to ja musiałam urodzić się taka słaba i chorowita?! Nie chcę mieć starego męża, który w zamian za moją pracę rzuci mi kawałek chleba i zażąda ode mnie mojego ciała. Żebym choć miała siłę, aby samodzielnie żyć...” Wiedziała, że to nierealne, dlatego doszła do głosu jej autodestrukcyjna natura.

– Chcę umrzeć! – jęknęła przez łyzy, lecz na tyle cicho, żeby nikt jej nie usłyszał. Ostatkami sił wykrzesowała ze swojej smutnej duszy okruchy nadziei i wyszeptwała jeszcze kilka słów, prośbę mającą uratować jej nędzny byt. – Lecz jeśli chcesz, abym żyła, Boże, to ześlij mi mężczyznę, takiego co naprawdę mnie pokocha i zaakceptuje. Takiego który się mną zaopiekuje, i któremu będę mogła dać siebie w zamian. Przecież wiesz, że nie mam nic ponad te pokłute igłą do szycia ręce i schorowane ciało.

4. REDAKTOR „NIESZCZELNY”

Kartka wypadła mu z rąk, więc pochylił się, aby ją podnieść. Dźwięk rozrywanych w kroku spodni przeszył lękiem jego serce na wskroś. Później nastąpiła salwa śmiechu, która dobyła się z ust pięknej blondynki. Koleżanka z redakcji wyszła na zewnątrz, nie potrafiła ukryć przed nim rozbawienia. Spojrzał w dół i ocenił straty... Długa na pięć centymetrów dziura była niczym, w porównaniu z kraterem widniejącym na jego męskim honorze, powstałym na skutek bombardowania go szyderczym jazgotem, który nadal dochodził do jego uszu z korytarza redakcji.

– Szlag – burknął pod nosem. Cały trząsł się ze złości, wyzwolonej w nim przez to niemiłe zdarzenie. Poczuł się poniżony do granic możliwości.

Wyprostował się, a chwilę później do gabinetu wszedł jego szef – pan w średnim wieku, uśmiechający się niczym teatralny amant, niepozubawiony jednak okrągłego balonika usytuowanego z przodu jego niskiego ciała. „Następny Pan Słoninka.” – pomyślał Wiktor, gdy ujrzał go po raz pierwszy. Teraz nazwałby go raczej „leniem salonowym”.

– Słyszałem, że pan redaktor nieszczęsny... – Zygmunt Chodzikiewicz przerwał i przyłożył palce do ust, jakby ta kpiarska uwaga wymknęła się mu jedynie przez przypadek. – To znaczy: naczelny, miał awarię. – Dodał ironiczny uśmiešek, po czym poprawił bieluńskie mankieciki swojej koszuli.

Wiktor zacisnął zęby. Ten kiepski żart dolał oliwy do ognia. Trzydziestopięciolatek rzucił na biurko plik zadrukowanych maszynowo notatek, sięgnął w przelocie po swój sfatygowany płaszcz i wyparzył na korytarz.

– Stój! Wik! Na litość boską!!! Zatrzymaj się!!!

Na dźwięk tego biadolenia przystanął na środku korytarza i obejrzał się przez ramię. Widok paniki, rysującej się na idealnej twarzy szefa, sprawił mu nieziemską przyjemność.

– Mamy numer do skończenia – zabrzmiał niezwykle potulnie. Zbliżył się do niego ze złożonymi dłońmi, które miały wyrażać mniej więcej tyle, co akt skruchy i litości w jednym.

– Numer musi poczekać – odpowiedział, jakby zupełnie go to nie obchodziło, a praca nie była dla niego jedynym sensem życia. Ale po co szef miał wiedzieć, że jest inaczej?

– Mam dwie ważne sprawy do załatwienia.

– A-ale Marcin p-powiedział... – Przetarł dłonią kropelki potu, które zaczęły spływać po jego czole. Chodzikiewicz wystraszył się. – Powiedział, że jest dużo poprawek.

– Poprawek jest jak zwykle dużo – odparła obojętnie. – A teraz proszę wybaczyć, ale spieszę się, aby uporządkować moje chaotyczne życie. – Założył kapelusz na głowę. Jego mimika nie drgnęła ani na milimetr, choć miał świetny ubaw.

– Wik! Bądź za godzinę! – brzmiał ni to rozkaz, ni prośba.

– Dobrze, panie Chodzik... to znaczy Chodzikiewicz! – Ukłonił się nieprzesadnie nisko, po czym opuścił redakcję. – Podłe świnie, beze mnie byście nawet palcem nie ruszyli – burknął pod nosem i pomaszerował prosto do domu. Miał nadzieję spotkać po drodze dziewczynę, która sprzedawała szmaciane lalki.

Kilka razy przeszedł ulicę wzdłuż i wszerz, lecz nie spotkał jej. Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię. „A ja chciałem jej to dać...” – pomyślał, gdy spoglądał na monety spoczywające na jego dłoni. Tak długo trzymał je w swoich rękach, że zrobiły

się gorące. Zawiedziony, wrzucił je do kieszeni spodni, sprawdzivszy uprzednio, czy nie znajdzie tam swojej starej przyjaciółki – dziury. Z ulgą odkrył, że jest posiadaczem spodni bez dziur w kieszeniach, lecz przypomniał sobie wtedy o rozdarcu między nogami. Zniesmaczony udał się do swojego mieszkania.

Jak zwykle zastał bałagan, chłód i kurz. Ominął płamę rozlanej dzień wcześniej wody i ruszył w stronę biurka ulokowanego w sąsiednim pokoiku. Nigdy nie przeszkadzała mu ciasnota kawalerki, którą wynajmował od kilku lat, lecz dziś odczuł ją boleśnie na swojej ręce, gdy zahaczył łokciem o klamkę drzwi.

– Kurde! – Kopnął drzwi z impetem, aby pomścić swój ból. – Zawsze coś! Zawsze coś... – marudził, gdy zasiadał do pisania. Wyciągnął arkusz papieru z szuflady i umoczywszy pióro w atramencie, zaczął notować starannym, kaligraficznym pismem:

„Poszukiwana pilnie! Władczyni ładu i składu, zdolna ujarzmić chaos w domu kawalera mieszkającego na ul. Żebraków 22/4. Zapraszam po godzinie 16:00. Właściciel chaosu.”

– Jeśli znajdę damę, która będzie na tyle inteligentna i dowcipna, aby potraktować mnie poważnie, przyjmę ją niezwłocznie – powiedział do siebie zadowolony. – A teraz utnę sobie drzemkę, żeby nastraszyć trochę pana Chodzika, to znaczy Chodzikiemowicza, he, he! Numer skończony, ale nie musi o tym wiedzieć. – Przypomniał sobie o dziurawych spodniach. Pospieszył do szafy, gdzie na wieszaku wisiały ostatnie spodnie bez dziur, jakie mu pozostały. Podrapał się po głowie. – Trzeba będzie kupić nowe.

Usiadł na fotelu ulokowanym tuż obok pieca kaflowego, który niemal ziębił go swoim brakiem palącego się w nim ognia. Nakrył się ciepłym kocem i westchnął smętnie.

„Nikogo nie obchodzi. Istnieję dla nich tylko wtedy, gdy czegoś ode mnie potrzebują. Matka obraziła się na mnie śmiertelnie za tą przygodę z Weroniką... Och! Wera, żebyś wiedziała, jak bardzo zniszczyłaś mi życie. A mimo to nadal za tobą tęsknię, ty podła szmato. Zdradziłaś mnie, wyśmiałaś, opuściłaś w dzień przed ślubem dla jakiegoś taniego amanta... A teraz jestem sam. Skazany jestem na samotność i śmierć z braku miłości. Nikogo nigdy już nie pokocham, ani nikt nie pokocha mnie. Podłe życie!”

Zamknął oczy. Westchnął tęsknie do ciepłych rąk, słodkich ust i pięknych oczu tej, która nie istnieje. Pod powiekami oczu ożywił na nowo jej uwodzicielski uśmiech, dotknął jej nagiej, gładkiej skóry. Gdy zaczął wyobrażać sobie jej piękne krągłości, poczuł podniecenie, i przesłoniło mu ono cały świat. Jego ciało było niczyje, niczym opuszczona ruina, do której już nikt nie zaglądał. Przepełniony żalem i upokorzeniem, zsunął spodnie i dotknął miejsca, które od wielu lat nie dawało mu spokoju i powodowało uciążliwą tęsknotę za dotykiem rąk wyśniewanej nieznajomej. Wyobraził sobie, że to ona go dotyka – ta piękna, idealna, wymarzona... Pragnął jej, lecz mógł ją mieć tylko w snach. „Gdybyś istniała, nie byłbym teraz sam.”

KRÓLOWA ŻEBRAKÓW Ewelina C. Lisowska

[Kup książkę](#)